NUMER 2. DNIA 12-go STYCZNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

KORNEL UJEJSKI.

...I z niemowlęcia i od kołyski ojciec i matka formowali Go „w kształt kolumny, czystej i białej... coby nikomu pokłon swą głową nie uderzyła, chyba — w dno trumny“...

A ziemia, kulami zorana, kurhanami najeżona, przemawiała do Niego, „jak święta“, — opowiadała o losach Ojczyzny, deptanej a wyniosłej, — mordowanej a żywej!

Potem — w Noc Listopada — czerwony sztandar buntu zaszumiał, jako wicher, nad młodą głową...

„Zanadto, zanadto orkanowych wrażeń w gorącą duszę dęło — buchnął płomień!“...

Płomień-Pieśń!

Pieśń orla, bojowa, — pieśń rycerska, niby szum usarskich skrzydeł, niby chrzęst mieczów nagich, co iskry sypią!



Popiersie Ujejskiego z pomnika we Lwowie.

Pieśń skowronczana, tkliwa, rzewna, wygrana na strunie, która „wiąże się do strzechy tych biednych sierot, co w zniewadze giną i tam opieśnia ich żal bez pociechy i te łzy krwawe, co przez nasze grzechy przez tyle wieków nieotarte płyną“...

I szedł z pieśni w pieśń, ze szczebla na szczebel — wyżej i wyżej, „w płomień serc, w światło wiedzy, w lot natchnienia — w Boga!“

A gdy „okropne dzieje przyniósł nam czas“, gdy „na ziemi jego ojców biły łuny krwawe, krzyk rozpaczy przedzierał się przez śmiech i wrzawę; pośród ogniów szatana przemykały posły i worki z srebrnikami dla Judaszów niosły“— wówczas po Jeremjasza gęśl wyciągnął ramię, do wtóru bratnich jęków ją ostrunił i uderzył w hymn, co „z dymem pożarów, z kurzem krwi“ popłynął w niebiosa i zapadł głęboko w serce narodu...

Było to południe życia: gorące, jaskrawe, złote, jakby w Świętojański dzień, kiedy to słońce wzbija się najwyżej, a ziemia najwięcej ma kwiatów

Później — nie prędko — powiały chłodne cienie wieczoru, zbliżył się czas, o którym ptak leci na gniazdo, kwiat stula kielichy, perlą się rosy świecące, a dzwony grają na — Anioł-Pański!...

Potem — nie prędko — wybiła godzina, w której Poeta, po raz ostatni, konając, ogarniał spojrzeniem miłości ziemię drogą, „kędy od wieków chodzi jego plemię we krwi a słońcu“...

...Wybiła godzina, w której wzięli go na ramiona „stroskani wieśniacy, jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy“, i odnieśli na miejsce wiecznego spoczynku — złożyli w ciszę i blask grobu...

M. Wysłouchowa.

NASZE POŁOŻENIE i ZADANIE.

(Z powodu pracy prof. Ochenkowskiego.)

Odczuwamy dziś potrzebę zmian zasadniczych, czujemy, że tak jak dzisiaj, dłużej już być nie może, że nadejdzie jakieś odmienne jutro, od którego rozpoczniemy żyć pełniejszem życiem, lub marniej jeszcze wegetować.

Wesele Wyspiańskiego sprawia na nas tak potężne wrażenie, bo wieje zeń owa chęć wyrwania się z cieśni, odczuwanie, że „teraźniejszość tłoczy“.

Z tego społecznego nastroju, wyniku współczesnych naszych warunków, powstają prace publicystyczne, usiłujące wytknąć drogę dla naszego społeczeństwa na przyszłość. W ich rzędzie praca profesora Ochenkowskiego: „N a s z e p o ł o ż e n i e i z a d a n i e“, zajmuje wybitne stanowisko, gdyż autor głęboko przemyślał nasze sprawy, a uprawianie wiedzy teoretycznej zrodziło w nim dążność do objektywnej prawdy.

Prof. Ochenkowskiego zaniepokoił brak jasnego sformułowania naszych zadań narodowych, oraz rozwój antagonizmów różnych grup narodowych i społecznych, zamieszkujących wspólne terytorjum. Autor ma na myśli

„tych Żydów i Rusinów, którzy wobec Polaków występują jako żywioły zdobywcze, a w tym kierunku postępując, muszą się powodować ujemnymi społecznymi motywami. Dla zdobywczych elementów żydowskich istniejące społeczeństwo i jego przyszłość muszą być rzeczami obojętnemi, a w dalszem następstwie musi się rodzić niechęć lub nawet skryta nienawiść do elementów polskiego i ruskiego, zagradzających pole zdobyczy. Że tego rodzaju postępowanie nie budzi sympatji ze strony Polaków i Rusinów dla Żydów, łatwo pojąć. Dla zdobywczych tendencyj Rusinów, kulminujących w zupełnem usunięciu z ziem polskich Polaków, nienawiść do nich jest również najobfitszem źródłem siły. Oprócz tego wykształca się ostry antagonizm między większymi właścicielami ziemskimi a chłopami i pomiędzy klasą roboczą a zatrudniającymi robotników“...

„Nie można też w dalszej konsekwencji spuszczać się na opiekę naszej narodowości przez rząd austrjacki, na udział w administracji państwowej i sądownictwie, na posiadanie autonomji i t. p. w tym sensie, że już te nabytki gwarantują dostatecznie nasz rozwój“...

Prof. Ochenkowski rozumie, że można tylko liczyć na własne siły, więc go zaprząta myśl: gdzie jest ta siła społeczna u nas, która by mogła zagwarantować nasz rozwój narodowy i społeczny, jaka grupa społeczna może być osią naszego rozwoju?

„Stanowisko szlachty jest... radykalnie zachwiane, a warunki, które ją kwalifikowały do przewodnictwa, nie istnieją, albo nie wchodzą w rachubę... Stopniowe, ale stałe zubożenie i wypuszczanie z rąk szlacheckich ziemi polskiej, podkopuje jej stanowisko ekonomiczne,

a oświata klasy szlacheckiej, wobec otwartych dla wszystkich sposobności kształcenia się, nie może być nadal dominującą“...

„Stan mieszczański... jest w naszem społeczeństwie zbyt... nieliczny, a przytem pod względem zawodowym zbyt rozsadzony elementem żydowskim, aby mógł być użyty w sprawie tu omawianej.“

Chłopski zastęp, zdaniem prof. Ochenkowskiego, powinien się stać osią naszego ustroju. Względy społeczne tu rozstrzygają.

„...sprawa społeczna w Europie obraca się około kapitału i to w wyższym stopniu, niż około ziemi. Z tych dwóch rzeczowych wytworów cywilizacji, t. j. kapitału i ziemi, u nas pierwszego w znaczeniu potężnej socjalnej podstawy niema a pozostaje ziemia, w posiadaniu której schodzi się chłop i szlachcic. Sprawa społeczna, która się u nas oprzeć o ziemię musi, wyprowadza, z powodu słabości w tym względzie elementu szlacheckiego, stan chłopski, jako czynnik główny.“

„To stanowisko chłopa, wynikające z myśli urzeczywistnienia niezbędnej u nas reformy socjalnej, zaleca się jeszcze z innych ważnych powodów... Przyczyni się do dopełnienia i wypełnienia całości naszego życia.“

Różni się prof. Ochenkowski od przedstawicieli dawnej naszej demokracji w swym stosunku do sprawy chłopskiej. W żądaniach polskich demokratów zwrot ku elementowi chłopskiemu, jako sile, jest zwrotem ku materjałowi, mogącemu dostarczyć żołnierzy. Zwiastowanie wyzwolenia społecznego ma odrazu stworzyć z tych żywiołów, dotąd śpiących, niezliczone zastępy rycerzy wolności politycznej. Dla profesora Ochenkowskiego sprawa społecznego przekształcenia, oparcia naszej cywilizacji na szerokiej podwalinie rzesz chłopskich posiada sama przez się, niezależnie od doraźnych konsekwencyj politycznych, zasadnicze znaczenie.

Proces, który prof. Ochenkowski uważa za pożądany w naszych warunkach, odpowiada dążności rozwojowej Galicji w ostatnich czasach i na tem polega znaczenie jego pracy.*)

Wskazania prof. Ochenkowskiego znalazły szeroki oddźwięk w prasie galicyjskiej, pomimo jej skłonności do przemilczania wybitnych objawów naszej myśli politycznej i społecznej. P. L. Jaworski w „Czasie“ z powodu pracy prof. O. twierdzi,

*) Znaną jest rzeczą, że proces parcelacyjny odbywa się dziś w Galicji. Odbywa się też samorzutnie proces kolonizacyjny Galicji wschodniej, wzmagający siłę żywiołu polskiego w tej części kraju.

Chociażbyśmy posiadali w Galicji wschodniej dwa razy tyle, ile tu mamy inteligencji w wolnych profesjach i na urzędach, chociażbyśmy mieli znacznie liczniejsze mieszczaństwo polskie, to jednak będziemy wypierani z tej dzielnicy, jeśli ta ludność miast nie znajdzie oporu o ludność wiejską, jeżeli nie wzmocni się tu chłop polski. W warunkach naszego kraju wsie stanowią główny rynek zbytu dla naszych miast, które nie posiadają niemal widoku na odległe rynki zewnętrzne. Ludność wiejska może zbojkotować, wyprzeć żywioł polski z miast Galicji wschodniej, jeżeli włościanin polski ulegać w niej będzie nadal temu, co dotąd, kulturalnemu zaniedbywaniu, które wiedzie go do rutenizacji. Moskwa, gdyby zabrała Galicję wschodnią, mogłaby tu zmniejszyć obszary, należące do polskiej własności wielkiej do jednej czwartej, ale nie zdołałaby wyprzeć stąd krzepkiego ekonomicznie i świadomego narodowo włościaństwa.

Dla zdobycia dobrej, dla uniknięcia złej doli, musimy wzmacniać rzesze chłopskie, gdyż tą tylko drogą zdobywamy siły narodowe.

Gdy od 1869 do 1880 r. ludność żydowska wzrastała w Galicji o 19 proc., a chrześcjańska o 11 proc., gdy w następnem dziesięcioleciu ludność żydowska nie uprzedzała już w swym wzroście chrześcjańskiej, gdyż obie wzrastały o 11 proc., obecnie zaś ludność chrześcjańska wzrosła w znaczniejszym stopniu od żydowskiej, pierwsza 10 proc., druga 5 proc., to dzieje się tak dlatego, że, dzięki organizacjom handlowym po wsiach i zwiększonemu natężeniu życia gospodarczego wśród ludności włościańskiej, ludność żydowska ulegała wypychaniu ze wsi, co zmuszało ją do wędrowania z Galicji.

Widzimy więc, że w walce z obcemi etnograficznie żywiołami rzesza włościańska u nas daje dowód swej odporności. Nieliczne, słabe ekonomicznie i rozsadzone żydowskim pierwiastkiem mieszczaństwo, aby rozróść się w siłę społeczną, musi oprzeć się na warstwie chłopskiej. Każda zdobycz ekonomiczna chłopów, rozwój parcelacji, podniesienie kultury rolnej na wsi, wszystko to zwiększać musi siły ekonomiczne naszego mieszczaństwa, stwarzając rynek zbytu dla naszych rzemiosł, zwiększając dobrobyt naszego handlu.

Mieszczaństwo, oparte na włościaństwie, może, zdaniem naszem, stworzyć siłę polityczną, niezbędną do podźwignięcia ekonomicznego Galicji. Siła ta może wywalczyć dla Galicji prawno-państwowe warunki ekonomicznego rozwoju kraju, a jeszcze w dzisiejszych prawnopaństwowych warunkach podnosić ekonomicznie kraj przez ekonomiczne podźwignięcie chłopa.

Nasze zadania społeczne pozostają w związku z naszem zadaniem politycznem, polegającem na zwiększaniu naszych sił, gdyż od nich będą zależne prawa nasze.

(Przypisek autora.)

że „kwestję przeobrażenia społecznego, jego konieczność dla sprawy narodowej, rozwiązano już dawno i to nie tylko w teorji, ale i w praktyce. Czemże innem jest n. p. żądanie reformy administracyjnej, jak nie środkiem, który ma w chłopie obudzić i utrwalić poczucie prawa. (?) Czemże innem jest żądanie reform agrarnych, które w chłopie ma wywołać wiarę w lepszą przyszłość.“ (!) Rzecz charakterystyczna, że neo-stańczyk samo postawienie pewnych reform administracyjnych i agrarnych uważa już za rozwiązanie kwestji włościańskiej w praktyce. Nie rozpatrując w danej chwili proponowanych reform przez partję krakowską, reform, które najusilniej zwalczać będą chłopi, możemy zaznaczyć, że ani w procesie parcelacyjnym, ani w kolonizacyjnym sejm i organy krajowe jeszcze nie współdziałały. Wszak niepodobna uważać za współdziałanie owych 20.000 K, które otrzymał w formie udziałów Bank parcelacyjny, pozbawiony długoterminowego kredytu, niezbędnego dla operacyj kolonizacyjnych. Nie ulega też wątpliwości, że różne pozostałości feodalizmu, n. p. obszary dworskie, jako jednostki administracyjne, owe ustawy łowieckie i drogowe i t. p., znajdujące się w sprzeczności ze współczesnemi pojęciami prawa i sprawiedliwości, niweczą poczucie prawne chłopa.

W. P. L. Jaworski twierdzi, że z chwilą, gdy przemysł się rozwinie, założenie prof. Ochenkowskiego oparte na przypuszczeniu, iż warstwa mieszczaństwa nie może być osią naszego społeczeństwa, odpadnie samo przez się.

Organ demokratów galicyjskiego autoramentu, „Słowo Polskie“ twierdzi, że prof. Ochenkowski „całkiem naiwnie załatwia się z kwestją przemysłu. Miljonowa ludność miejska z całą inteligencją zawodową znika mu całkiem z oczu.“ Kto jest naiwny? Czy ten, kto na mocy faktów ekonomicznego rozwoju Galicji nie przypuszcza, aby w Galicji powstał przemysł, który mógłby wytworzyć główną siłę społeczną, czy ci panowie, co mniemają, że dostawszy się do sejmu i do parlamentu przy pomocy inteligencji zawodowej i upadającego ekonomicznie mieszczaństwa, wyszachrują w kuloarach parlamentarnych przemysł dla Galicji, lub przy szczupłym arsenale środków, jakiemi rozporządza sejm, uprzemysłowią Galicję?

Wśród krytyków, obsaczających prof. Ochenkowskiego, zjawił się p. Daszyński, uzbrojony w zdawkowy frazes socjalistyczny, że chłopi nie stanowią jednolitej warstwy. Lecz gdzie jest jednolita warstwa społeczna? Czyż są nią robotnicy? Czyż między zawodowymi wysoko płatnymi robotnikami a robotnikami nieukwalifikowanymi nie leży większa różnica ekonomiczna i obyczajowa, niż między 15-stu i 2-morgowym chłopem? Czyż w Anglji, a i nie tylko w Anglji, nie przejawia się antagonizm między dobrze płatnym, ukwalifikowanym robotnikiem, a najmitą dziennym? Nie odrzucam istnienia wspólnych klasowych interesów robotniczych, ale też uznaję wspólne interesy różnej zamożności włościan w Galicji, w kraju, gdzie pozostało chłopu do zniweczenia tyle pozostałości feodalnych, gdzie podniesienie kultury rolnej, organizacja zbytu płodów rolnych, handlu wiejskiego i tyle innych spraw na długo zjednoczyć muszą włościaństwo.

Daleki jestem od twierdzenia jakoby praca prof. Ochenkowskiego miała być kulminacyjnym punktem naszej myśli społecznej i politycznej, ale stwierdzić muszę, że krytycy prof. Ochenkowskiego nie dorównali mu pod względem tej myśli. *Wł. Studnicki.*

JAN ŚWIERK.

ODCZYTY PO CHATACH.



„Pracuj, póki masz światło,
zwłaszcza światło ranka“.

Dziwnie wielką jest ta głębia przepaści, oddzielającej zawsze jeszcze miasto od wsi — zawsze tu biją dwa przeciwstawienia silne: światła i ciemnoty; a nie ma przewodów, zlewających wiedzę z taką mocą, jakaby zdołała przepaść wsi od miasta — zarównać.

Ile-to w mieście płonie ognisk wiedzy, nauki, postępu, oświaty... a jakże wobec tego blado świeci kaganek, roztlony u progu szkółki biednej...

Lecz — szkółka zbiera i garnie tylko najmłodszych, a starszym i najstarszym niema nic do dania, ani w planie, ani w czasie, ani w przestrzeni nawet...

Miasto — wiedzie dusze ludzkie od stopnia do stopnia, od klasy najpierwszej prowadzi do sal uniwersytetu, a i tam jeszcze wrót nie zamyka i nie powie, jak owa szkółka na wsi chłopakom wyrostkom powiada: „Skończyliście naukę!“

Ileż-to miasto ma sal wykładowych, ile kursów specjalnych, ile uzupełnień, wyjaśnień, odczytów, bibljotek, zebrań, a wszędzie powtarza się jedno i to samo: wiedzę się daje, wiedzę bierze, naukę rozszerza, pogłębia, utrwala...

A po chatach?...

Długa jesień, z dłuższemi jeszcze wieczorami zima — w ciasnej izbie gromadka liczna, niejeden raz jeszcze i zwiększona przez sąsiadów, a tu stara gazeta, przeczytana już po raz dziesiąty i książka, pożyczona z czytelni szkolnej, powtarzana raz może piętnasty...

Gdyby zjawił się kto w wieczór taki cichy na wsi i wszedł do chaty, a począł czytać coś zajmującego, barwnie napisanego, rzucającego jakby snopy światła, wspaniale świecącego — wyobraźmy sobie, czemby to był podobny uczynek?...

Ale — z odczytami na estradach po salach wielkich jakoś inaczej idzie... Przyjdą recenzenci i napiszą potem pochwał niemało. Będzie imię prelegenta powtarzane wielokrotnie. Przyjdzie publiczność doborowa, oklasków dość huknie...

A w chacie — przy nędznej lampce za 16 centów lub przy łuczywie jeszcze dziś używanem — wobec gromadki, kurzącej tytoń niezbyt wonny, przy sieczki krajaniu i łuskaniu grochu, urządzać odczyty... co wy chcecie?... Ludzie! do kogo wy to mówicie?...

I iść z miasta na wieś, w błoto — gdzie niema chodników, latarnie się nie świecą, deszcz zacina, wicher huczy... co wy chcecie?...

Od miasta do wsi tak bardzo daleko wtedy, gdy lud ma dużo czasu wolnego, gdy nie wysypane żwirem drogi rozmokną błotem lepkiem, gdy długa noc ciemna upowije chaty i zagrody mgłą wilgotną i wtedy mieszkańcy miast ani chcą o wsi pamiętać, ani chcą o niej myśleć...

Oni zlecą do wiosek wtedy, gdy rozwiną się gaje zielonych fal szelestem, gdy poczną szumieć łany zbóż i — gdy biedny chłopek niema chwili wolnej ani na czytanie, ani na gawędę.

I to się nazywa, że my lud bardzo kochamy, do niego się garniemy i w oświacie ludowej bierzemy czynny udział.

Oj miasto ty, miasto — oświetlane tysiącem świateł — gdybyś ty nie było tak daleko od wsi, jakżeby inaczej dola nasza smętna splatała się w całość, ileżby to wrzawy twej bezdusznej ucichło, a wieleby się okazało niw niezaoranych i pól nieobrobionych!...

Dziwnie uderzają w serca nasze wieści o tworzonych ciągle nowych stowarzyszeniach młodzieży, kształcącej się, postępowej, koleżanek i ko-

legów... Statutów, planów, celów, ulepszeń mnóstwo... a istotnego czynu prawdopodobnie najmniej. Sekcji, oddziałów, kółek, komitetów nie mało, a wykazanej pracy istotnej — zdaje się — bardzo niewiele.

Miast oddawanego czasu sprawom osobistym lub częstokroć drobnej wagi — wieleżby korzystniej było iść z odczytami po chatach i pracować spokojnie a wytrwale.

Nie szukać prelegentów doborowych, bo w wyszukiwaniu utonie praca, ale znaleźć serce dobre, chęć szczerą i — wytrwałość...

Pisać odczyty, przygotowywać się z prelekcjami, szukać tematu — nie potrzeba.

Sienkiewicza trylogję do ręki i dalejże z nią po chatach, a obsiędą kołem, a roztkliwią się nad losami bohaterów, a będą czekać na dalszy ciąg, jak na wschód słońca.

A czyż Krzyżaków tak samo się nie odczyta? A po za tem ileż jest prawdziwych perełek w naszej literaturze, któreby trzeba nieść między lud, i wlewać im w myśl i serce te skarby? Z funduszów, przeznaczonych na cele oświaty „Szkoły ludowej“, ze składek w towarzystwach opłacić koszta podróży kilku kolegom i prosić ich, aby poszli do tej lub owej wioski i po chatach czytali.

Tam jest znajomy nauczyciel, do niego zajechać, ówdzie ktoś z ludu nam znany, przyjmie szczerze i pomoże, tam nauczycielka pójdzie z nami razem, więc i koleżanka może się wybrać z odczytami po chatach, a wtedy nie powiemy z żalem, iż miasto od wsi bardzo daleko i nie stara się zniweczyć przepaści, oddzielającej ciemne wioski od rozświetlonego miasta.

Karnawał stoi u progu...

Będzie zabaw dość — wszystko na cele wielkie i dobroczynne, na oświatę i otarcie łez.

Zbierzcie potem wasze błyszczące ordery kotylionowe i powiędłe bukiety z kwiatów na drucikach — zważcie ich wartość i powiedzcie: „tyle daje miasto istotnej pracy dla ludu i biednych!“...

Nasze długie noce karnawałowych zabaw — jakie to nudne i bezduszne wobec tygodnia, spędzonego w chacie na wsi z odczytami z dziejów naszych, z obznajamianiem ducha braci z prawdy skarbami...

Boicie się?... Jakie przeszkody?... Silna wola nie zna takich szańców, któreby nie dały wejść w życie odczytom po chatach, ale — trzeba tę wolę mieć...

Tylko od programów i haseł, od pozowania do cichej pracy, od wzywania do rozpoczęcia zawsze tak samo daleko, jak daleko miastom oświecanym do wiosek ciemnych i opuszczonych.

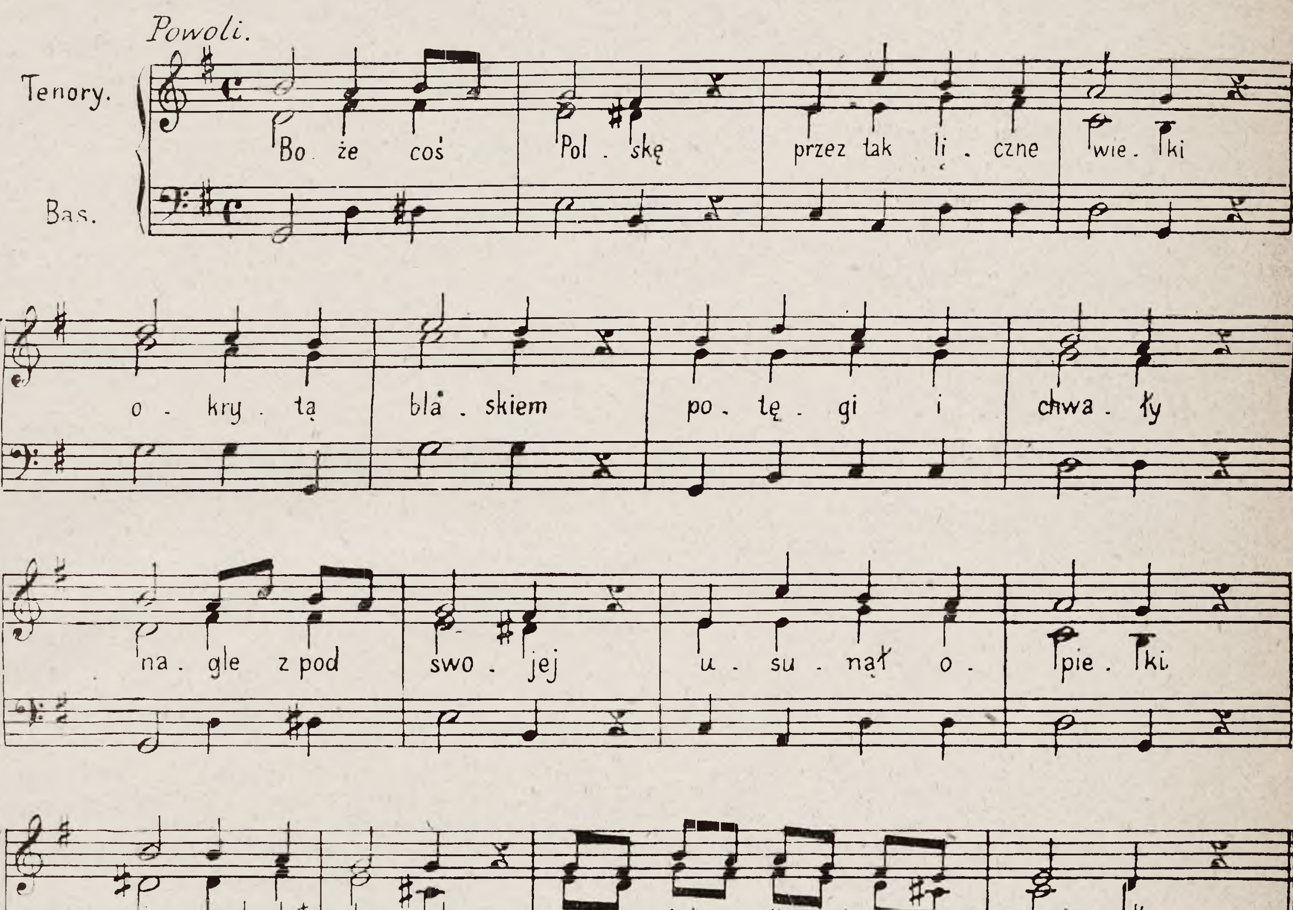
Wieczory długie, ciche, głuche... Starą gazetę czyta się po raz dziesiąty — nudną książkę po raz dwudziesty, bo w chatach nie ma nikogo z miasta... a miasto daleko! daleko!...

Boże, coś Polskę!...

(Przyczynek do historji pieśni polskiej.)

Mało komu zapewne wiadomo dokładnie, jakie koleje i przemiany przechodził hymn „Boże coś Polskę“ i to zarówno jego część muzyczna, jak i tekstowa. Tymczasem wykazuje on pod tym względem ewolucję bardzo bogatą w szczegóły, która przez pracowników na niwie historji pieśni polskiej nie została nigdzie opracowaną w całości. Zanim to nastąpi, podajemy tu następujące dane.

Co do muzyki, to melodja dzisiejsza hymnu „Boże coś Polskę“, której używa się; oprócz do znanej pieśni kościelnej „Serdeczna Matko“, jeszcze



do kilkunastu pieśni kościelnych i patrjotycznych, nie była jedyną muzyczną jego ilustracją. W śpiewach burszów polskich, wydanych w Filadelfji w r. 1835 znajduje się przytoczony poniżej tekst pewnej odmiany hymnu „Boże coś Polskę“ pod tytułem „Modlitwa“, do której dodaną jest melodja odmienna od dzisiejszej, a używana około roku 1820. Czy ta melodja jest identyczną z melodją pierwotną, niewiadomo, gdyż „Pamiętnik Warszawski“ z roku 1816, w którym znajduje się

pierwszy tekst hymnu, wspomina tylko ogólnikowo, że muzykę skomponował Kaszewski, ale jej nie podaje. W każdym razie jest ona dawniejszą, niż obecnie używana, którą Juljan Horoszkiewicz podaje w zbiorze pieśni polskich z roku 1830—1831.*)

Porównując, załączoną tu dawną, jak i obecną melodję hymnu „Boże coś Polskę“, widzimy, że obie zaczynają się od *H*, obecna ćwierćnutą, a dawna półnutą i że obie napisane są w rytmie czteroćwierciowym. Porównanie obu melodji, pod względem ich wartości muzycznej, wychodzi na korzyść hymnu w *C*-moll, t. j. dziś śpiewanego; więcej w nim porywających akordów, więcej podniosłej melodyki. Dawniejsza nuta „Boże coś Polskę“, napisana w tonacji *E*-moll posiada więcej cech śpiewu kościelnego i być może, że jest więcej nastrojową, lecz ponad wszelką wątpliwość mniej serdeczną od obecnej.

Co do tekstu, to przeszedł on znacznie więcej zmian, uległ większym przeobrażeniom i posiada do dzisiaj mnóstwo odmian w układzie i w poszczególnych zwrotach i wyrazach. Podstawą był wspomniany już tekst Felińskiego, napisany przezeń w r. 1816 „Na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego, z woli Naczelnego Wodza Woysku Polskiemu do spiewu podany“. Od tego czasu hymn „Boże, coś Polskę!“, odnoszący się w ostatnich dwóch wierszach każdej zwrotki do „króla“ Aleksandra I. i trzymany w tonie rojalistycznym, zaczyna się rewolucjonizować. W przytoczonym zbiorze pieśni polskich z roku 1830—1831 znajdujemy już tekst, w którym dwa końcowe wiersze wszystkich zwrotek nie zawierają już prośby o zachowanie „króla“, lecz o „Ojczyznę wolną“. Ponadto zaś dwie pierwsze zwrotki zawierają drobniejsze, a dwie drugie radykalne zmiany.

Oto te dwa teksty:

TEKST FELIŃSKIEGO:

Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
I tarczą swoiey zasłaniał opieki
Od nieszczęść, które przywalić ią miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego Króla zachoway nam Panie!

Ty, coś ią potem, tknięty iéy upadkiem,
Wspierał walczącą za nayświętszą sprawę,
I chcąc świat cały mieć iéy męztwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył iéy sławę.
Przed Twe ołtarze itd.

Ty, coś nakoniec nowemi ią cudy
Wskrzesił, i sławne z klęsk wzaiemnych w boiu
Połączył z sobą dwa braterskie ludy,
Pod iedno berło Anioła pokoiu.
Przed Twe ołtarze itd.

Wróć nowéy Polszcze świetność starożytną
I spraw, niech pod Nim szczęśliwą zostanie,
Niech sprzyiaźnione dwa narody kwitną,
I błogosławią iego panowanie.
Przed Twe ołtarze itd.

TEKST Z R. 1830—1831:

Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją zasłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które pognębić ją miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!

Ty, któryś potem tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczącą za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć jej męztwą świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył jej sławę.
Przed Twe ołtarze itd.

Wróć nowej Polsce świetność starożytną,
Użyźniaj pola, spustoszałe łany,
Niech szczęście, pokój na zawsze w niej kwitną,
Przestań nas karać Boże zagniewany.
Przed Twe ołtarze itd.

Boże najświętszy! przez Twe wielkie cudy,
Oddalaj od nas klęski, mordy boju;
Połącz wolności węzłem bratnie ludy,
Pod jedno berło anioła pokoju.
Przed Twe ołtarze itd.

Julian Horoszkiewicz podaje ten drugi tekst za jedynie autentyczny i zaleca, aby się go trzymać wyłącznie.

Na dalsze ewolucje tekstu „Boże, coś Polskę“ wpłynął napisany przez Antoniego Góreckiego w roku 1817 „Hymn do Boga o zachowanie Wolności“. Z tego hymnu przyłączono dwie drugie zwrotki do pieśni „Boże, coś Polskę“ po raz pierwszy, jak mówi, Horoszkiewicz, w „Bardzie Nadwiślańskim“ z roku 1832. W tej kombinacji, tylko z małemi zmianami zarówno zwrotek Felińskiego, jak i Góreckiego, znajdujemy hymn

*) Wspomnienia z roku 1830—1831. Zeszyt I.

„Boże, coś Polskę“ we wspomnianej już powyżej „Modlitwie“, w owych filadelfijskich śpiewach burszów polskich. Oto ona:

MODLITWA.*)

1.

Boże! coś Polskę, przez tak liczne wieki
Okrytą blaskiem potęgi i chwały,
Nagle z pod swojej usunął opieki
I poddał ludom, co jej służyć miały:
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszą Ojczyznę racz nam wrócić Panie!

2.

Ty, coś ją potem, tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczącą za najświętszą sprawę,
I chcąc świat cały mieć jej męztwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył jej sławę;
Przed Twe ołtarze itd.

3.

Niedawnoś wolność zabrał z polskiej ziemi,
A łez, krwi naszej popłynęły rzeki:
Jakże to musi być okropnie z temi,
Którym Ojczyznę odbierasz na wieki!
Przed Twe ołtarze itd.

4.

Jedno Twe słowo, wielki gromów Panie!
W chwili nas z prochów wskrzesić będzie zdolne;
A gdy zasłużym na Twe ukaranie,
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne!
Przed Twe ołtarze itd.

Oto byłyby główne składowe części hymnu „Boże, coś Polskę!“ Ale na tem się jeszcze nie skończyło i pieśń w dalszym się rozwijała ciągu. Najsilniej wpłynęły na to oczywiście lata 1860–1864, t. j. oba okresy powstania styczniowego: manifestacyjny i zbrojny. Modyfikowano i kombinowano części dawne i dodawano nowe. Z tej ewolucji wytworzyła się ostatecznie pieśń taka, jak jest dzisiaj, obejmująca ogółem dziesięć zwrotek**), z tego cztery Felińskiego w odmianie z lat 1830—1831, dwie Góreckiego i cztery nowe.

*) Tekst ten, jakoteż i załączone tu nuty do niego, zawdzięczamy p. Franciszkowi Barańskiemu.

**) „Jeszcze Polska nie zginęła“. Pieśni patrjotyczne i narodowe — zebrał Franciszek Barański.

Niektórzy przedstawiciele ideałów „pracy organicznej“, w powieści naszej
z ostatniej ćwierci XIX. w.

(C. d.)

O wiele już jednolitszym, doskonalszym, czystszym przedstawicielem okresu utylitarnego, jest Borowiecki z „Ziemi obiecanej“ Wł. Reymonta.

Podobnie, jak Wokulski, marzy i Borowiecki o „szczęściu w zakątku“, — że tak się wyrażę — o szczęściu najbardziej osobistem, w mniemaniu, że da się ono zdobyć, pomimo braku szczęścia w ojczyźnie. Dla niego symbolem szczęścia tego jest duża fortuna materjalna. Do jej zrobienia sposobi się Borowiecki, od dzieciństwa niemal, trenując odpowiednio ducha swego. W latach młodzieńczych powiada sobie: precz z wszelkiemi złudzeniami, z wszelką podniosłością i pragnieniami wyższemi, gdyż to wszystko szczęścia nie daje, owszem utrudnia jego zdobywanie. W walce o byt, w dążeniu do stanowiska i miljonów, trzeba być mocnym, bezwzględnym, obrachowującym tylko własny zysk, — trzeba być zimnym, przebiegłym i konsekwentnym zdobywcą, dla którego wszelki środek, wiodący do celu zamierzonego, jest godziwym, obowiązującym. Podczas gdy dla Wokulskiego robienie miljonów, jest tylko środkiem do celu, dla Borowieckiego, jest ono już celem, czemś co ma dla niego wartość bezwzględną, samą w sobie. Wprawdzie Borowiecki, występuje nieraz w charakterze działacza przemysłowego wyższego typu, który pragnie uszlachetniać gospodarkę fabryczno-przemysłową (chęć wytwarzania lepszego towaru bez szwindlów etc.); wprawdzie, wśród współzawodniczących z nim obcych żywiołów (Żydzi, Niemcy), wygląda nieraz, jak bojownik walczący w imię niezależności eko-

nomicznej swego społeczeństwa, — pomimo to wszystko jednak główną pobudką jego działalności, jest pragnienie wyniesienia się osobistego, żądza osiągnięcia niezależności materjalnej, dla widoków używania osobistego. On pragnie być ujarzmicielem materji, wyzwolicielem zasobów ekonomicznych kraju, nie po to, by swoją świadomość społeczną — że tak powiem — wypełnić poczuciem dumy i radości, lecz po to, by świadomości indywidualnej sprawić zadowolenie, podnieść ją widokiem jej potęgi i niezależności. Wyzwalanie zasobów materjalnych odbywa się tu nie na tle potrzeb i interesów społeczeństwa, lecz na tle najbardziej osobistych wymagań i widoków. „Pracę organiczną“ zrozumiał Borowiecki mniej więcej tak, jak ją większość zrozumiała: naprzód i przedewszystkiem uzbierać materjalne dostatki, a potem można, bardzo łatwo utożsamić interesy i cele osobiste z celami społeczeństwa. Można w końcu zostać filantropem, założyć jakąś instytucję dobroczynną, zrobić zapis, sypnąć kiedy niekiedy groszem...

Borowiecki stałby się najpewniej tego rodzaju „wzorem“ rycerza przemysłu, gdyby nie zawód, gdyby nie zwrot w życiu, który skruszył jego dumę zdobywcy.

Miał on jedną ambicję, która go stawiała wyżej „moralnie“, od współzawodniczących z nim pospolitych korsarzy przemysłowych, miał ambicję wywalczenia sobie stanowiska i potęgi materjalnej jedynie własnemi siłami, własną dzielnością i bezwzględnością, bez odwoływania się do sił cudzych.

Nie udało mu się to...

Zawód duży, obraza miłości własnej — i to podwójna — gdyż nie chcąc ginąć marnie w tej puszczy, gdzie wszyscy wydzierają sobie łup i pożerają niefortunnego współzawodnika, — zmuszony jest właśnie odwołać się do sił obcych (posag żony), wesprzeć własne siły, które mu niedopisały, — cudzemi...

Stąd wielkie upokorzenie, wielka gorycz, stąd również być może zachwianie się w nim tego dogmatu, że można mieć „szczęście w domu, pomimo, że go niema w ojczyźnie“. Gdyby nie tego rodzaju zawody i upokorzenia, Borowiecki nie wątpiłby o tem, czułby się dobrze, posłannictwo swoje uważałby za spełnione, — niesmaki i braki życia, najpewniejby mu nie dokuczały. Dzieje się inaczej i oto Borowiecki zaczyna uzupełniać życie swoje sposobami, którym dawniej urągał, uważając je za wytwór bezpłodnego marzycielstwa i czczych urojeń. Wielki, pozytywny zdobywca materji, uchyla głowy przed nieznaczną mrówką społeczną, w cichości pełniącą drobne obowiązki, dla celów bezinteresownych; korzy się w głębi duszy przed nią i, co więcej, zaczyna tęsknić do ułud i ideałów młodości, sumiennie i świadomie tępionych przez całe życie, jako rzecz bezużyteczną, w sprawie zdobywania dostatków materjalnych.

Koniec epopei — a może początek nowej — lecz i to do nas nie należy! Bądź jak bądź jednak Borowiecki naczelne instynkty natury swojej wyhodował w atmosferze moralnej ideałów „pracy organicznej“ — stąd czerpał zachętę do działalności swojej i sankcję jej. Powodzenie życiowe utrzymałoby go w typie — byłby został jednym z lepszych i osobliwszych wykonawców programu organicznego; niepowodzenie — wykoślawiło go nieco, można nawet mniemać, że, w miarę jątrzenia się w duszy jego rany zawodu, może stać się ofiarą ambicji przemysłowych. W ostatecznym rezultacie, Wokulski i Borowiecki łamią się, jeden potrąca o beznadziejność, drugi — staje się mniej bezwzględnym, mniej pozytywnym, wątpiącym o celu wysiłków swoich i o dobroci stosowanych środków. Żeby dojść do tego, trzeba mieć w sobie jakąś niepospolitość, trzeba mieć chwile podnioślejsze, wśród ciągnącego się pasma dni filisterskich... I tu wychyla się ku nam dobrze znana postać, która pasma tego niczem nie przerwie, rozczarowań nie dozna, rozdwojeniem się nie znuży, gdyż jest wcieleniem poprawnej mierności, „wesołym pasażerem“ — że się tak wyrażę — płaskiego utylitaryzmu i świadomego siebie filisterstwa, które dochodzi do uznania w sobie szczególniejszych cnót i wartości. Jest nim p. Połaniecki z „Rodziny Połanieckich“ H. Sienkiewicza, postać ukochana przez p. W. Spasowicza i wszelkich Straszewiczów, wyczekiwana przez nich, jako istota, niosąca zbawienie społeczeństwu, nie umiejącemu „szlachetnie“ pracować, cierpiącemu na jałową „chorobę ideału“, albo na rozleniwienie ducha i nieprodukcyjność. Jest to ich syn najmilszy, niosący obietnicę odrodzenia społecznego. Zobaczmy, na kogo liczą ci panowie, na jakie siły moralne? I on, tak samo jak Borowiecki, stara się od najwcześniejszych lat stłumić w sobie marzyciela, istotę trwoniącą na urojenia, na sprawy

niepewne, zasoby ducha swego i lata; i on powściąga siebie w zapałach i sentymentach młodego wieku i hartuje siebie na człowieka trzeźwego, żyjącego raczej rozumem praktycznym, niż uczuciem i wyobraźnią. Na rzeczy niepewne, na przedsięwzięcia, których zysk nie daje się obrachować z góry, — na jakieś tam ryzyka filozoficzne, estetyczne, religijne i t. p. — on niema ochoty marnować sił swoich i czasu. Połaniecki woli przyjść do rzeczy gotowych, utwierdzonych tradycją, wspartych dogmatem (jego stosunek do religji), gdyż przeczuwa, że zwątpienie, niepokój duszy — to przymioty, co prowadzą na manowce, na których można zgubić szczęście, zdolność pracy etc. On zresztą, w rodzinie własnej, znajduje przykłady na poparcie swego wstrętu do życia „bez dogmatu“, bez wyraźnych celów i trzeźwych dążeń. On ma w pamięci losy Płoszowskiego, o którym z całem zadowoleniem istoty wyższej powiada, z dobroduszną wzgardliwością: „że umiał tylko farbować policzki kobiet“... Połaniecki nie chce być specjalistą tego rodzaju, jego dusza potrzebuje szerszej działalności, — woli więc „farbować perkaliki“ — bo to i pewniejsze i dochodniejsze. Z tej umiejętności farbowania perkalików Połaniecki czerpie poczucie własnej godności i znaczenia w życiu społecznem.

A więc — farbować perkaliki na umór, bez pamięci, bez wytchnienia, aż do skutku... aż do wypełnienia kasy ogniotrwałej: taką będzie dewiza tego „dzielnego, trzeźwego i produkcyjnego“ umysłu. Żeby należycie spełniać swe „posłannictwo“, trzeba wyrzec się wszelkich przesądów stanu swego, sfery szlacheckiej, która marnieje z powodu braku szacunku dla pracy, z niemożności wejścia na drogę nowych potrzeb życia, odmiennych sposobów wyzwalania bogactw materjalnych. I Połaniecki wyrzeka się wszelkich przesądów klasy ziemiańsko-szlacheckiej, stanu rolniczego, a wyrzeka się do tego stopnia, że zatraca doszczętnie uczucie przywiązania do ziemi ojczystej, słowem do tego, co stoi po za jego specjalnością: „farbowania perkalików“...

Przypomnijmy sobie, z jaką to bezwzględnością przystępuje Połaniecki do wycofania sumy swojej, zahypotekowanej na majątku papy Pławickiego. Nic go nie obchodzą dalsze losy majątku, nic nie znaczą węzły pokrewieństwa! On musi mieć „swoje“ pieniądze — gdyż sprawa farbowania perkalików nie cierpi zwłoki. A nawet później, gdy już, razem z żoną swoją, pełni „służbę bożą“, nie przyszłaby mu do głowy myśl odkupienia kawałka ziemi ojczystej, nie poruszyłoby jego sercem pragnienie zbliżenia się do ludu swego, gdyby nie wytrwała natarczywość Maryni, gdyby nie jej wpływ... no, i gdyby nie słabe wyrzuty sumienia własnego, które mu szepce, że — oszukaną raz z panią Maszkową — żonę, trzeba przecie w ten sposób odszkodować, by nie czuć się wobec niej dłużnym i spokój sumieniu swemu przywrócić...

Tak, w głównych rysach, wygląda owa istota opatrznościowa, którą p. Spasowicz radby w każdej chwili spotykać w towarzystwach naszych (p. krytykę „Rodziny Połanieckich“). P. Straszewicz zaś, najpewniej, chciałby widzieć w szeregu subsydjatorów „Kraju“ petersburgskiego...

Podobne szczęście, niewątpliwie, ich nie minie. Połaniecki, do kresu dni swoich, będzie swobodnie, wesoło, dobrodusznie pełnił „służbę bożą“: czasami wybierze się do Petersburga, jako „reprezentant narodu“ — gdy będzie chodziło o sprawy propinacji w jego własnym majątku, — niekiedy podąży tam, wraz z innymi, dla złożenia wiernopoddańczego hołdu; — czasami uwiedzie, dla rozrywki, jaką panią Maszkową, głównie jednak będzie, wespół z sentymentalnym Bigielem, zakładał rozmaite „Towarzystwa przemysłowo-handlowe“, nie po to, by w społeczeństwie własnem podnieść stopień rozwoju ekonomicznego, zwiększyć jego zdolność ujarzmiania materji, lecz by własnych uzdolnień i kwalifikacji do „farbowania perkalików“ nie zmarnować.

Nie złe i to! Pod tym względem, Połaniecki, jest przykładnym przedstawicielem poziomych, ograniczonych do bezpośrednich korzyści, utylitarnych dążeń okresu organicznej pracy. Świadomość społeczna jest u niego w zaniku, — świadomość indywidualna zaś niczem nie da się wstrząsnąć, niczem rozdwoić — jak u Wokulskiego i Borowieckiego — dlatego, że jest przeciętną, wyzutą z wszelkiej niepospolitości, zadowoloną z siebie i swoich dążeń *).

W. J. Gryf...

*) Niektórzy posądzają Sienkiewicza o chęć wysunięcia Połanieckiego, jako wzoru do naśladowania. Nie sądzę, żeby tak było. Sienkiewicz, podług mnie, widział w Połanieckim jednostkę typową dla naszego życia spółczesnego, nadającą się do artystycznego odtworzenia. Nie sądzimy jednak, żeby był przejęty jego dodatnością...

(Dok. nast.)

MAKSYM GORKIJ.

O pisarzu, który się zapamiętał.

(FANTAZJA.)

(Dok.)

Ze dwudziestu ludzi z publiczności odwróciło się tyłem do mówcy i wyszło. On ciągnął dalej:

— Dobry, żywy człowiek zawsze gdzieś dąży, czegoś szuka, a wy żyjecie cicho, spokojnie, nieruchomie tak, jak wam każą. Żyć wam ciężko, myśleć się nie chce, ruszać się nie macie odwagi. Dokoła was, zupełnie jak w salonie kokoty cacka na półeczce, sterczą przegniłe tradycje i różne życiowe przepisy, djabła warte. Wszystko to odbiera wam możność poruszenia swobodnie ręką, ale to wszystko są wasze małe bałwany i nie ośmielacie się ich zrzucić, chociaż są dla was kajdanami. I gdy wiatr przynosi z pola do zatęchłego powietrza waszych nor świeże zapachy, wy, obawiając się fluksji w sercu, zamykacie wszystkie okna. Niepokoju wy nie lubicie, niepokój was przeraża. Ale potrzeba wam mieć coś do rozmowy, potrzeba wam czegoś do zajęcia waszych gości, jak żebracy więc wyciągacie ręce do literatury, aby wziąć z niej coś dla rozrywki. Literatura jest dla was ostrą przyprawą do mdłego smaku waszego ponurego życia, podoba się wam, kiedy piszą krwią i żółcią, ale tylko podoba się. Ani miłości, ani nienawiści nie budzi w duszach waszych literatura — nic, prócz okrzyku pochwały lub nagany. Wyście nie ludzie, wyście spektatorzy, publiczność. Życie nie drgnęłoby, gdybyście wszyscy odrazu zniknęli z niego; choćbyście się zapadli pod ziemię, nic się nie zmieni na ziemi. Jesteście stoicy, bo — niewolnicy. Biją was — milczycie, lżą was — uśmiechacie się. Gniewacie się tylko na żony, gdy obiad jest niesmaczny, a cierpicie przez chciwość do rozkoszy życia, przez zazdrość do innych ludzi i przez złe trawienie. Kiedy but ciśnie was w nogę, jęczycie: „o, jakaż słuszność ma Schopenhauer“. Niech was wszystkich djabli porwą. Gdybyście widzieli, jacyście godni litości, jacyście wstrętni, jak strasznie ciężko jest żyć między wami! Mówią wam: życie jest straszne, życie jest ponure, całe jest przesiąknięte krwią... Wy nie wierzycie — wasze życie jest tylko pospolite i nudne, a gdy wam pokazują śmierć i okropności tej nudy, pozostajecie spokojni, obchodzi was tylko jedno, czy ładnie ją pokazano? Estetycy tonący w błocie, obyście się już prędzej niem udławili!...

Publiczność powoli topniała. Ona nie lubi długich mów. A szatan się uśmiechał — on przecież znał prawdziwą wartość tego wszystkiego. Ale mówca, uniesiony pełnieniem swej powinności, niczego nie zauważył.

— Życie, to poemat heroiczny o człowieku, który szuka j e j serca i nie znajduje go, chce wszystko wiedzieć, a nie może, dąży do potęgi, jaką ma ojciec jego na niebie, a braknie mu sił do przezwyciężenia własnej słabości. Słyszeliście coś o prawdzie, o sprawiedliwości, o chęci widzenia wszystkich ludzi ziemi dumnymi, wolnymi, pięknymi?... Wam się chce tylko mieć pełny żołądek, żyć w cieple, gwałcić i znieprawiać kobiety, pod pozorem miłości do nich, chce wam się żyć spokojnie, wygodnie, powolutku — oto wasze szczęście. A wasze pragnienie największego szczęścia — kupić pięciogroszniaka za grosz. Szczęście chwyta się silnemi, muskularnemi rękami, a wyście tchórzliwi, słabi, wątli — nawet muchy nie umiecie schwytać bez postronnej pomocy — i z muchami walczycie trującym papierkiem „Śmierć muchom“. Mnie żal much! One brzęczą i nie dają spać, ale ja z radością napisałbym dla was papierek „Śmierć muchom“, abyście, czytając go, truli się niepokojem... Widzę, że nie mam słuszności, wy bywacie niespokojni. Kiedy życie staje się niewygodnem dlatego, że pensja nie wystarcza na wyżywienie rodziny, albo dlatego, że od nudy życia z wami zdradzają was wasze żony, jęczycie, filozofujecie, życie wydaje się wam wstrętnem i ciężkiem, dopóki nie podwyższą wam pensji lub nie znajdziecie sobie kochanki. I zapełniając życie starczem gderaniem, nieznośnym skrzypem rozczarowania, swojemi skargami na nie zatruwacie słuch swoich dzieci. Zatrzymujecie ich myśl na drobnostkach życia, na jego podłotach i myśl ta tępi się, jak miecz, którym rąbią drwa a nie głowy.

Potem i dzieci, zmęczone waszem rozpowiadaniem o życiu, którego nie znacie, idą powoli utartemi ścieżkami, przedwcześnie zgrzybiałe, zimne, nędzne. Idą i szukają życia ciepłego, życia sytego,

życia wygodnego; znajdują je i istnieją powolutku, za przykładem ojców. One są jak świeże wapno, którem zatarto szczelinę w starym budynku. Ten ciężki, brudny gmach cały jest przesiąknięty krwią ludzi, których przygniótł; trzęsie się od starości, jest objęty przeczuciem bliskiej ruiny i z przerażeniem czeka chwili, aby z hałasem rozpaść się w gruzy. A już dojrzewają siły do pchnięcia i rosną, burzą się, zaledwie mogą utrzymać same siebie i to tu, to tam wybuchają płomieniem niecierpliwości. One przyjdą i wówczas stary gmach zadrży, runie na wasze głowy, przygniatając was sobą, chociaż zasłużyliście na karę śmierci tylko za to, żeście nic nie zrobili. Ale winnych niema w życiu.

Publiczności zostało się już zupełnie mało. Część patrzyła na pisarza z litością — lubiąc czytać jego opowiadania, ze smutkiem słuchała jego mowy, ponieważ w mowie tej nie było nic estetycznego. Niektórzy patrzyli z żalem. Wszystkim było nudno i nikt się nie obrażał. Jakiś młody człowiek zachmurzony zawołał z gniewem:

— To są wszystko słowa. Pokaż pan, jaki pan masz program, taktykę!

A poważny pan zauważył z westchnieniem:

— Ech! i ja za młodu byłem romantykiem...

Dama w czarnej sukni spytała:

— Za co on wymyśla kobietom?

Szatan się śmiał...

— Jeszcze trzeba wam powiedzieć, że wy bardzo lubicie być nieszczęśliwi. Sądzę, że robicie to z wyrachowania: nie macie czem wzbudzić w sobie wzajemnie szacunku, naumyślnie więc stajecie się nieszczęśliwi, aby wzbudzić litość, współczucie, tanie emocje, któremi jednakowo obdarzacie siebie i pieska, kiedy koło powozu przygniecie mu nogę. Gdybyście mieli zdrowe, pełne uczucie miłości do życia! Przecież wy nie kochacie życia, wy się go boicie, pocichutku, jak złodziej, urywacie z niego kawałeczki... Dobrzy ludzie! Biedni żebracy! Daj Boże, jaknajprędzej nieszczęście na wasze głowy, abyście się zaniepokoili, daj Boże wam wiele trwogi, abyście żyli!

Z grupy ludzi, stojących przed mówcą, jeden się obraził i zawołał:

— Ależ my nie wszyscy jesteśmy tacy... do djabła! To już jest wreszcie niesprawiedliwe!

— Nie żądaj pan odemnie sprawiedliwości, jej niema w życiu, niema jej dotychczas. Jakże śród was może zrodzić się sprawiedliwość? Wyście wszyscy jednakowo nędzni. Jesteście społeczeństwem, jakże was dzielić na dobrych i złych? Wy wszyscy za młodu zbroiliście się w naukę, siedząc w szkołach i was wszystkich uczą jednego i tego samego. Trudno mi jest wyobrazić sobie uniwersytet, w którym uczonoby młodzież mizantropji, obojętności w stosunku do życia, dążenia do intratnych posad i innych mądrości. Nie wiem, dlaczego zdawało mi się zawsze, że tam nie tego uczą. A jednak, gdy wstępujecie w życie, wszystkich tych obrzydliwości, nie ubywa w niem przez waszą obecność. Nie jestem przekonany, że przynosicie z sobą nowe podłości i tego nie twierdzę. Wiem tylko, że w 25 roku życia nie uznajecie własności, a w 35 — jesteście właścicielami porządnych kamienic. Wiem, że umiecie pracować na siebie, ale pytam się: coście zrobili dla życia? Wszyscy jednakowo zimno czujecie, nawet ci z was, którzy gorąco mówią. Ileż podłości jest dokoła was! Staracie się ją zniszczyć, wypędzacie ją precz od siebie? Nie! Najlepsi z was, widziałem, skrzętnie chowają się przed nią. Dążenie do czystości jest niezłem dążeniem, ale człowiek uczciwy nie boi się błota. Mówmy szczerze! Temu, że wasze życie jest tak wstrętne, jesteście wszyscy jednakowo winni... Na ziemi niema prawych — niema jeszcze!... A skąd wy macie tyle uniżoności przed siłą, a gdzieście się nauczyli niewolniczo drżeć o całość swojej skóry? Twierdzę, że cała podłość i ohyda, która nasuwa się na każdym kroku — żywo, silnie i tak jasno kwitnie wszędzie dokoła was tylko dlatego, że opiera się na twardym gruncie, na waszym strachu o swoją skórę, na waszych poddańczych uczuciach. Hańba życia jest winą was wszystkich. Gdybym wierzył w siłę przekleństwa, przeklął bym was wszystkich... Ale ja wierzę w coś innego!... Wkrótce przyjdą inni ludzie, ludzie śmiali, uczciwi, silni... wkrótce...

— No, dosyć już — rzekł szatan z uśmiechem.

Pisarz rozejrzał się. Przed nim i koło niego nie było żywego ducha.

— Dziwne — wyrzekł wreszcie — rzeczywiście wszyscy odeszli?... Ja jeszcze nie skończyłem...

— Spłonęli w ogniu twojej wymowy, cha-cha-cha!... Widzisz kopeć na suficie? Oto wszystko, co się po nich zostało... Chodźmy.

Nie wiem, co się dalej stało z moim bohaterem. Nie chce mi się myśleć nad zakończeniem

tej historji, nie przeczuwam w niem nic dobrego dla naszego bohatera. Ale jestem przekonany, że jest niedobrze, kiedy pisarz dochowa się licznych wielbicieli. I każdy człowiek, mający do czynienia z publicznością, powinien od czasu do czasu napawać powietrze dokoła siebie kwasem karbolowym prawdy.

Oto wszystko...

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Miłość,* poemat Jana Kasprowicza. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Utwór ten wydanym już był przed kilku laty i jest znanym już dostatecznie publiczności, niema więc potrzeby ani go streszczać, ani obszerniej charakteryzować. Nowa na nim jest tylko szata zewnętrzna i artystyczne ramy, w jakich się obecnie ukazał. Na dużej przestrzeni dwustu blisko kart małego foljo rozsianych jest mnóstwo rycin, częścią plansz, a częścią ozdób i winiet. Wykonali je pp. Okuń i Liljen. O ile pierwszy z nich odznacza się większą znacznie fantazją, o tyle niesmacznym wprost jest w przesadnem rozwichrzaniu pomysłów z jednej strony, a z drugiej w pogwałceniu rysunku, bez istotnej potrzeby, a tylko aby się dostroić do modernistycznych rysunków, w których to ma niby łączyć się siła z naiwnością. Z plansz zaledwie w kilku lepiej mu się udało uchwycić i wyobrazić jakąś myśl ogólną. Najlepiej wyszły jego ornamenta, zbudowane z kwiatów. Niema tych wad u p. Liljena, ale brak mu za to tej samorzutnej fantazji, którą ma p. Okuń, posługuje się więcej kombinowaniem gotowych symbolów i jest przytem trochę sztywnym. Mimo te usterki, książka, wydana pod względem typograficznym z wielkim przepychem i starannością, przedstawia się na ogół bardzo okazale.

*

Chwila obecna (Dążności i usposobienia) przez Wł. Jabłonowskiego. Warszawa. Nakładem Jana Fiszera. — Sam tytuł wskazuje już dostatecznie, czego się po tej niewielkiej książeczce należy spodziewać. Jest ona zbiorkiem szkiców z współczesnego życia naszych myśli i uczuć. Pierwszy z nich, od którego cały zbiorek otrzymał swój tytuł, jest niejako ogólnem ujęciem dalszych, omawiających poszczególne objawy. P. Jabłonowski poddaje tu krytyce to, co się mówi powszechnie o panoszącym się z końcem ubiegłego stulecia „anarchizmie ducha“, o „rozkładzie w życiu i literaturze“ i przychodzi do przekonania, że nieuzasadnionemi są ani nadzieje jakichś wielkich erupcji w dziedzinie duchowej, ani obawy, co do zaniku żywotnych sił ducha. Zarówno nieokiełznane pragnienia, jak i sceptycyzmy i mistycyzmy współczesne, uważa on za „falę powrotną“, za powtórzenie zjawisk, tylko w odmiennej, bardziej może skomplikowanej formie. Ani uczucia, ani świadomość nie wyczerpały jeszcze dotąd swojego zakresu. „Zostało jeszcze bardzo wiele na przyszłość“.

Z kolei następuje rozwinięcie tej myśli na niektórych wybitniejszych przykładach. A więc szkice: „Epopea psychologiczna“, „Na krańcach indywidualizmu“ (Nietzsche i Tołstoj), „Otchłań“ (uczucia miłosne), „Smutek współczesny“, „Nieco zawiele optymizmu“, „Niepewne drogi“, a w końcu „Ruch etyczny“.

We wszystkich tych szkicach nie usiłował autor stawiać żadnych samoistnych twierdzeń, lub nawet sięgać głębiej, niż do tej warstwy, na której wzrosły zapatrywania, objęte szkicami. Są to wszystko kwestje znane pod określeniem „wiszących w powietrzu“, t. j. rzeczy częściej się powtarzające, zaobserwowane pod wpływem chwili, sformułowane przez tego i owego w zdania ogólne i rozchodzące się potem z książki do książki, z ust do ust, w miarę, jak ta lub owa okoliczność je potwierdza. Ponieważ zaś wszystkie te kwestje mają w sobie charakter wniosków, wysnutych ze znajdujących się pod ręką faktów, a jako współczesne i blisko nas dotyczące, bardzo się łatwo przyjmują i mogą iść za daleko, więc dobrze jest poddawać je częstej rewizji i badać, czy nie są wnioskami, wysnutymi przedwcześnie i zbyt na gorąco. To właśnie czyni p. Jabłonowski w niniejszej pracy z wielkim zasobem erudycji i widocznem umiłowaniem przedmiotu. *S. W.*

*

Folklor, podręcznik dla zajmujących się ludoznawstwem, ułożył Gomme George Laurence, przetłumaczył z angielskiego Wojciech Szukiewicz, opatrzył przedmową i wydał Dr. A. Eljasz Radzikowski. (Wydawnictwo Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie).

Doświadczenie, jakiego nabrało Towarzystwo ludoznawcze, wydając kwartalnik etnograficzny „Lud“, wykazało, że w przeważnej części młodzi zwłaszcza etnografowie, zajmujący się zbieraniem materjałów ludoznawczych, idą w swoich pracach i poszukiwaniach na oślep, głównie z braku odpowiedniego naukowego przygotowania. Rychło tedy okazała się nagląca potrzeba wydania popularnie opracowanego podręcznika, z pomocą którego młode siły mogłyby obznajomić się z metodą badania. Że jednak u nas zazwyczaj trudno o dobre tego rodzaju książki, oryginalnie napisane, więc nie było innej rady, innego środka, celem zapobieżenia złemu, jak tylko wydać jakiś podręcznik w tłumaczeniu z obcego języka. Wybór, jaki uczyniono pomiędzy istniejącymi podręcznikami, był nadzwyczaj trafny, gdyż książka Gommego, prezesa angielskiego Towarzystwa folklorystycznego, odznacza się niepospolitemi zaletami, a zwłaszcza tem, że wykład przedmiotu jest jasny, pozbawiony cytatów i odsyłaczy, w których łatwo mógłby się zabłąkać młody

pracownik. Ponadto wielką zaletę tego podręcznika stanowią rozliczne kwestjonarjusze, ułożone w sposób przystępny nawet dla laików w etnografji. Tak więc kolejno może czytelnik zaznajomić się z wierzeniami, odnoszącemi się do przyrody żywej i martwej, istot nadnaturalnych i życia przyszłego, naturalnie ogólnie, bo o szczegółach mówią specjalne kwestjonarjusze, jakie spotykamy przy każdym rozdziale podręcznika. Tak samo pisze Gomme o czarnoksięstwie, czarodziejstwie, wróżbach, lecznictwie ludowem, zwyczajach ludowych i zabawach. Sporo nakoniec miejsca poświęcono baśniom, legendom, pieśniom, przysłowiom i przezwiskom wieśniaczym. Bardzo pouczające są dwa ostatnie rozdziały, z których może wiele skorzystać zwłaszcza młody etnograf, nie posiadający jeszcze doświadczenia. Dowie się stąd bowiem, jak należy zbierać materjały surowe z ust ludu, w jaki sposób zjednywać sobie chłopów, ażeby nie kryli się ze swojemi wierzeniami i t. d. Dowie się nadto, jak pożyteczna jest praca nad wyszukiwaniem szczegółów ludoznawczych, których spora ilość kryje się w kronikach średniowiecznych, aktach sądowych, żywotach świętych, kazaniach, dawnych opisach podróży i dziełach topograficznych, rękopisach, oraz drukach ulotnych. Słowem — książka to nader pożyteczna, z której można bardzo wiele skorzystać i nauczyć się.

Jeden tylko zarzut musimy uczynić wydawcom w sprawie podanych pod każdym rozdziałem źródeł polskich. Jeśli Towarzystwo ludoznawcze wydaje podręcznik, powinno starać się, ażeby bibljografja taka była, o ile możności, jak najkompletniejsza, ażeby młody pracownik odnalazł wszystko, co mu jest potrzebnem do dokładnego obznajomienia się z przedmiotem. Tymczasem bibljografja prac polskich, jaką tu podano, jest bardzo daleka od dokładności. Co gorsza, w spisach tych pominięto prace częstokroć najważniejsze. Nie wątpimy, iż w drugiem wydaniu, które powinno z powodu użyteczności książki i bajecznie niskiej ceny rychło nastąpić, braki te zostaną usunięte. *St. Zdziarski.*

CZASOPISMA. *Pogląd na świat*, miesięcznik poświęcony wiedzy, sztukom i filozofji życia, ogłosił prospekt, w którym przedstawia myśli przewodnie, jakie nadal kierować mają jego egzystencją. Biorąc sobie za motto zdanie, że „literatura powinna być wychowawczynią narodu“ — pisze tam kierownik miesięcznika, p. W. M. Kozłowski:

„Kształcący wpływ wywierają tylko te składniki wiedzy, literatury i sztuki, które mogą się spoić w całość poglądu na świat, które zawierają w sobie pierwiastki syntezy. To, co się nie spaja w jedność, zostaje luźną wiadomością, nowiną, przypadkowością i efemerydą w życiu umysłowem jednostki i ludzkości. — Ideał, swobodnie i samorzutnie poczęty, jest tem, co nadaje płodność twórczości ludzkiej we wszystkich zakresach, co czyni jej składniki zdolnemi do spojenia się w całość harmonijną. Kaprys i samowola bezładna są pierwiastkami rozkładowemi w wiedzy i w sztuce, jak i w życiu. Uspołecznienie w najszerszem znaczeniu, jako ściślejsze spojenie wysiłków jednostek, gromad, narodów, jako wspólność w pracy i życiu duchowem, wytyka drogę postępu ludzkości, daje podstawę wolności osoby, stanowi miarę wartości społecznej wypadków dziejowych i utworów ducha. Atomizm jest czynnikiem rozkładowym“.

Stosownie do tego programu, zamierza p. Kozłowski rozszerzyć pismo zarówno pod względem obejmowanego przez nie zakresu, jak i rozmiarów. W tym celu zgrupował, jak można wnosić z prospektu, obszerne grono współpracowników, między którymi znajdują się pierwszorzędne siły ze wszystkich dziedzin umysłowego życia polskiego.

*

Poradnik językowy, miesięcznik, wychodzący w Krakowie pod redakcją prof. Romana Zawilińskiego, zawiera, obok kilkudziesięciu, mniej lub więcej umotywowanych rozstrzygnięć, co do składni i pisowni polskiej, między innemi także decyzję, jak należy pisać przymiotnik od słowa Września i po dłuższym gramatycznym wywodzie wyrokuje, że zgodnie z duchem języka należy pisać w r z e s i e ń s k i albo w r z e s i ń s k i.

Oprócz tego znajduje się w tym samym numerze bardzo pouczający przyczynek o wpływie ludu na rozwój języka. Znany malarz p. Włodzimierz Tetmajer ożeniony, jak wiadomo, z chłopką i ciągle z ludem obcujący, nadesłał do „Poradnika“ kilka nieznanych ludowych określeń, które obrazowością, świeżością i humorem przewyższają o wiele swoje odpowiedniki języka literackiego, nie mówiąc już o wyrazach, powykuwanych mozolnie z języków obcych.

„R z u t pisma — pisze p. Tetmajer między innemi — czy to nie piękniejsze i nie bardziej obrazowe i nie silniejsze, niż „charakter pisma“? A przedewszystkiem własne, polskie określenie... Czy zamiast „obserwować“ nie możnaby mówić: u w a ż a ć? Przypatruję się uważnie, bo właśnie obserwuję coś po malarsku. Chłop pyta: Cóż pán robi? Odpowiadam: Patrzę, bo chcę zapamiętać tę okolicę... może ją namaluję... A chłop: Ehe, wiem, pán se u w a z u j ą... Rozwijające się dziecko patrzy bacznie na barwne przedmioty; mówi się o niem: ono se u w a z u j e...

Albo nie jestże to pyszna nazwa d r a b i n k a r z, którą lud tutejszy (Bronowice pod Krakowem) oznacza — „karjerowicza“? „Sztylpy“ lub „kamaszki“ to u niego c h o l e w k i; „pantofle“ — c h o d a k i; „bicykl“ — k ó ł k o, a „blejtram“ malarski — k r o s n o...“

MALARSTWO. *Dławce.* Takiem mianem ochrzcił Witkiewicza i jego stronników w sztuce i krytyce malarz, współpracownik warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego“, „Wisły“ i ceniony zbieracz dokumentów sztuki ludowej i archeologji, p. Marjan Wawrzeniecki, w swojej najnowszej pracy pod powyższym tytułem. W niewielkiej tej broszurce, napisanej wielce zapalczywie, usiłuje p. Wawrzeniecki w całym szeregu zarzutów dowieść, że Witkiewicz i krytycy jego pokroju „dławią“ prawdziwą sztukę. Zarzuca mu więc, że, będąc sam pigmejem myślowym,

rozpoczął z góry uplanowaną walkę z myślą w sztuce i rzuca się na Matejkę, jako na najwyższy wyraz malarstwa monumentalnego. Po obniżeniu *mala fide* wartości Matejki, jako artysty i pedagoga, wysunąć miał Witkiewicz celem przeciwstawienia mu, jako wykonawców, Al. Gierymskiego i Chełmońskiego. W końcu, schlebiając przeciętnemu filisterstwu, położyć miał Witkiewicz nacisk na techniczną, t. j. przystępniejszą dlań, bo rzemieślniczą stronę sztuki. Popodsuwawszy zaś tak Witkiewiczowi cały szereg zbrodniczych względem sztuki, a płynących z ciasnego egoizmu zamiarów, biada p. Wawrzeniecki w niebogłosy nad zgubnym skutkiem jego działalności. Idea na długo ze sztuki uciekła, ci, którzy coś więcej umieli, lub głębiej myśleli, zostali wyśmiani i umilkli, a na ich miejsce wdarła się zgraja robotników pędzla, którzy, lekceważąc dawne „wielkości“, kopjują tylko naturę, i wyrobników pióra, którzy im wtórują, a ich dzieła poziome uwielbiają. Słowem — zorganizować miał Witkiewicz „klikę“ admirujących się nawzajem miernot, gotowych każdej chwili rzucić się na wszystko, co chciałoby się wychylić po nad jej „strychulec“. Pociesza się zaś p. Wawrzeniecki tylko tem, że duch na zawsze ze sztuki wypędzić się nie dał i obudzony surmami „secesji“, wraca znowu do władzy w dziedzinie sztuki.

Zarówno tonem, jak i swoim insynuacyjnym charakterem, dowodzą „Dławcy“ formalnej monomanji autora z jednej, a nie zrozumienia celów artystycznych z drugiej strony. Przedewszystkiem niepodobna zapoznawać zasług Witkiewicza, polegających na wykazaniu nicości krytyk, streszczających fabuły obrazów, a nic nie mówiących o nich samych lub filozoficzno-estetycznych elukubracji Struwego, na temat symboliki linji i barw, — na obaleniu hierarchji estetycznej, wedle której obraz historyczny musiał być lepszym od rodzajowego, ten zaś od pejzażu, a malarz historyczny większym od rodzajowego, a ten od pejzażysty i t. d. — wreszcie na zapoznaniu publiczności ze znaczeniem kompozycji, rysunku, loiki światłocienia, perspektywy, kolorytu itp. Być może, że w walce o to, żeby opinji o wartości dzieła szukać w niem samem, poszedł Witkiewicz za daleko, mówiąc np., że „dobrze namalowana głowa kapusty jest tak samo dobrem dziełem sztuki, jak głowa człowieka“, lub wykazując niedomagania Matejki jako kompozytora, kolorysty i pedagoga artystycznego. Ale żądzy zupełnego pognębienia ideowej strony w nim niema. Z tego, co mówi o Matejce, jako o malarzu wyrazu, o Boecklinie, o kompozycji wogóle, o charakterze, nastroju i t d., rozumny czytelnik z łatwością pozna, jaki szacunek ma Witkiewicz dla duchowej treści dzieł sztuki. Zresztą jeszcze na kilkadziesiąt lat przed nim zupełnie podobne żądania stawiał J. I. Kraszewski, a nikomu nie przyszło nigdy na myśl czynić mu z tego zarzutu, jakoby chciał był ducha w sztuce pognębić. Witkiewicz poszedł w ferworze polemicznym za daleko o tyle, że nie liczył się z psychiką tej większości swoich czytelników, którzy umieją z tego, co czytają, uchwycić tylko z gruba ton lub kierunek, dla których podkreślenie uznania jakiegoś szczegółu równa się uwielbieniu całości, a zastrzeżenie się przeciwko jakiejś jednej cesze objawu jest bezwzględnem jego potępieniem. Do takich zaś należą zarówno ci, co ciasno pojmując zamiary Witkiewicza, przesadzają je jednostronnie, jak i opozycjoniści w guście p. Wawrzenieckiego.

S. W.

NOTATKI. Słynna powieść Jiraska *„Chodowie“*, która w oryginale doczekała się aż sześciu wydań i przeróbki na scenę, a którą „Tydzień“ drukował w roku zeszłym w przekładzie M. Wysłouchowej, doznała przychylnego przyjęcia przez prasę warszawską.

„Jest to pełen prostoty i scen wzruszających obraz górskiego ludu czeskiego z uciskającymi go panami niemieckimi, którym, po bitwie pod Białą górą, Chodowie zostali zaprzedani w niewolę — pisze o tym utworze znany krytyk Wł. Jabłonowski w 12. nrze „Książki“ z 15. grudnia z. r. — Jeden z ostatnich momentów tej bohaterskiej walki Chodów o podeptane prawa wolności i przysługujące im od wieków przywileje przedstawia właśnie autor w swoim „obrazie historycznym“.

„Prócz pięknych opisów ziemi chodzkiej i ujmującej charakterystyki jej mieszkańców, znajdujemy tu w fabule samej parę scen wielkiego napięcia dramatycznego, oddanych z niewymuszoną naturalnością i bez efektów teatralnych. Główną osobą powieści Jiraska jest jeden z bohaterów i męczenników górali czeskich, Jan Kozina, postać historyczna, uosabiająca doskonale wytrwałe dążenie Czechów do samodzielności narodowej i wielką miłość kraju ojczystego“.

Tyle „Książka“.

Niemniej pochlebnie ocenia dzieło znakomitego pisarza czeskiego i „Prawda“ warszawska, która tak o niem pisze w nrze 51. z 21. grudnia z. r.:

„Powieść historyczna, piękny, gorącem uczuciem opromieniony obraz bohaterskich, lecz bezowocnych usiłowań dzielnego ludu w celu odzyskania praw i wolności, nadanych mu przez królów w ciągu wielu wieków niepodległości Czech“...

Zaczem po przytoczeniu w krótkich słowach treści „Chodów“, sprawozdawca kończy słowami:

„Lecz pamięć nieustraszoności górali, szlachetnego poświęcenia i ofiary z własnego życia, jest tem ziarnem wiecznie żywem, które, ukryte głęboko, czeka tylko promienia światła, ażeby zacząć kiełkować. Imiona bohaterskich obrońców swych praw, Chodowie przechowali wiernie po dziś dzień.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8